

Boże Narodzenie zaczęło się kiepsko, kiedy to pan Caradog Williams, zawiadowca stacji od dwudziestu lat, pojechał do Old Bethel po kocioł, żeby mieć w czym zagotować wodę na herbatę na dziecięce przyjęcie. Przypadkiem rzucił okiem na rzekę i zauważył zwłoki nagiego mężczyzny, rozdęte i uwięzione pośród konarów zwalonej wierzby. Nie był to Walijszyk.

— Pewnie jakiś turysta — orzekł policjant.

Wybraliśmy się z Anselmem na cały dzień na farmę Daviesów, Ty-Ysaf — jedną z oryginalnych stuakrowych parceli. Daviesowie byli kuzynami Powellów, lecz powodziło im się dużo lepiej. Na farmie mieszkało sześć osób, nie licząc chilijskiego peona: starsza pani Davies, jej syn Ivor z żoną i dwoma synami oraz nieżonaty brat Ivora, Euan.

Starsza pani Davies zajmowała duży pięciopokojowy dom. Była zasuszoną staruszką o najmilszym z uśmiechów i włosach zaplecionych w warkoczyki. Czuło się, że twarda z niej sztuka. Popołudniami siadała na ganku od wschodu, osłonięta przed wiatrem, i patrzyła, jak malwy i peonie zmieniają się z dnia na dzień. Salon nie zmienił się od czasów, gdy jako młoda mężatka przybyła tu w roku 1913. Ściany wciąż były różowe. Na kominku, obok dwóch glinianych mopsów, stały dwie tace ze srebra i miedzi — prezenty ślubne. Po obu stronach serwantki wisiały podkolorowane fotografie rodziców jej męża, którzy przybyli z Ffestiniog. Wisiały tam od zawsze i po jej śmierci będą wisieć nadal.

Pan Davies senior zszedł w ubiegłym roku. Miał osiemdziesiąt trzy lata. Zawsze jednak mogła liczyć na towarzystwo Euana. Był to krzepki mężczyzna o piwnych oczach, ciemnorudych włosach i pogodnej piegowatej twarzy.

- Nie - powiedziała pani Davies. - Euan jeszcze się nie ożenił, ale za to śpiewa. Jest cudownym tenorem. Kiedy zdobywał nagrodę w Eisteddfod, wszyscy płakali. Akompaniował mu Anselmo, tworzyli wspaniałą parę. Ależ ten chłopak gra na fortepianie! Tak się cieszę, że Euan dał mu ten ładny talerz na Gwiazdkę. Biedak wydaje się taki zagubiony i samotny. Życie w Chubut to żadna frajda, jeżeli nie ma się pomocy rodziny. Tak, Euan musi się kiedyś ożenić, ale z kim? Brakuje tu młodych kobiet, a on musi trafić na tę właściwą. No bo gdyby tak okazała się kłótniwa? Albo gdyby farma nie mogła wyżywić dwóch rodzin? Musieliby się rozstać, a to by było okropne. Jedno z nich musiałyby odejść i zacząć od nowa gdzie indziej.

Pani Davies miała nadzieję, że za jej życia do tego nie dojdzie.

Ivor Davies mieszkał z rodziną w mniejszym, trzypokojowym domu z wypalanej z błota cegły. Był wysokim, trzymającym się prosto i łysiejącym mężczyzną o głęboko osadzonych oczach. Jako człowiek wierzący trzymał na komodzie broszury Walijskiego Towarzystwa Biblijnego. Ivor Davies nie wierzył, że świat jest tak zły, jak się powszechnie twierdzi.

Ivor i Euan wykonywali wszystkie prace na farmie. Najcięższe było kopanie rowów nawadniających. Peon tylko się objął. Od pięciu lat mieszkał w szopie na narzędzia Uprawiał własną grządkę fasoli i łapał tyle fuch, żeby starczało mu na matę i cukier. Nigdy nie wrócił do Chile, a oni zastanawiali się, czy aby nie zabił człowieka.

Pani Ivorowa Davies była Włoszką o niebywale beztroskim usposobieniu. Jej rodzice pochodzili z Genui. Miała czarne włosy, niebieskie oczy i różową cerę, która jakoś nie pasowała do tutejszego klimatu. Stale mówiła, że coś jest piękne. *Qué linda familia!* — wołała, nawet jeśli dzieci były brzydkie. *Qué lindo dial* — nawet jeśli łało jak z cebra. Dzięki niej wszystko wydawało się piękne. A już najpiękniejsza była według niej społeczność walijska. Nauczyła się walijskiego i śpiewała w tym języku. Jako Włoszka nie mogła jednak zrobić z synów Walijszyków. Oni zaś nudzili się w tej społeczności i chcieli wyjechać do Stanów Zjednoczonych.

- W tym cały kłopot — orzekła Gwynneth Morgan, wspaniała celtycka kobieta o upiętych w kok złotych włosach. — Kiedy Walijszyk żeni się z cudzoziemką, traci tradycję. - Gwynneth Morgan była niezamężna. Chciała, żeby dolina została walijska, tak jak do tej pory. — Ale wszystko rozpada się na kawałki - oświadczyła.

Bo pani Ivorowa Davies marzyła o Włoszech, a zwłaszcza o Wenecji. Raz w życiu widziała Wenecję i Most Westchnień. Gdy wypowiadała słowo *sospiri*, robiła to tak głośno i dosadnie, że każdy wiedział, iż pali jej się do Włoch. Chubut leżało tak daleko od Wenecji, a Wenecja była tak dalece piękniejsza niż wszystko, co widziała w życiu.

Po herbacie pojechaliśmy śpiewać hymny w kaplicy Bryn-Crwn. Ivor wziął żonę i matkę do pikapa, a reszta z nas zabrała się *dodge'em*. Ojciec Ivora kupił tego *dodge'a* w latach dwudziestych i samochód do tej pory był na chodzie, no, ale wtedy maszyny były lepsze niż obecnie.

Kaplica Bryn-Crwn postawiono w 1896 roku na środku pola. Pod ścianą z czerwonych cegieł stało w szeregu sześciu Walijszyków w ciemnych ubraniach i płaskich czapkach. W oficynie kobiety nakrywały stół do herbaty.

Anselmo grał na fisharmonii, wiatr hulał, deszcz bębnił o szyby, a ptaki tero krzyczały. Walijszycy śpiewali hymny Johna Wesleya i smutne pieśni o obietnicy złożonej Cymry przez Boga, wysokim dyszkantem i sopranem, którym wtórowały w tle pomruki starszych mężczyzn. Był tam stary pan Hubert Lloyd-Jones, który prawie już nie mógł chodzić; pani Lloyd-Jones w zdobionym kwiatami słomkowym kapeluszu; pani Cledwyn Hughes, zwana Grubaską; a także Nan Hammond i Dai Morgan. Rodziny Daviesów i Powellów stały się w komplecie, nawet Oscar Powell, „dzikus”, w podkoszulku z walijskim smokiem, wokół którego biegł czerwony napis: *Llanfairpwllgwyngyllgogerychwyrndrobwlllantysiliogogoch*.

Nabożeństwo dobiegło końca. Starsi rozmawiali, a dzieci bawiły się w chowanego między kościelnymi ławkami. Potem

wszyscy zgromadziliśmy się przy herbacie. Była to już druga herbata tego dnia, ale Boże Narodzenie to dzień na herbatę. Kobiety nalewały napój z czarnych glinianych dzbanków. Pani Davies przyniosła pizzę i Walijczycy spróbowali po kawałku. Anselmo rozmawiał i śmiał się z Euanem. Łączyła ich zażyła przyjaźń. Chłopak był pełen życia, ale tę żywotność zawdzięczał Walijczykom, bo Walijczycy napawali pogodą ducha wszystkich, którzy widzieli ich radosne, zniszczone przez pogodę twarze.

14

Anselmo poradził mi, żebym odwiedził poetę. „Mistrza”, jak się wyraził.

Poeta mieszkał nad ustronnym brzegiem rzeki, w przerośniętym sadzie morelowym, sam jeden w dwupokojowej chatce. W Buenos Aires był wykładowcą literatury. Do Patagonii przybył czterdzieści lat temu i został tu już na stałe.

Obudził się, gdy zapukałem do drzwi. Siąpiła mżawka, więc czekając, aż się ubierze, schroniłem się na werandzie i przyglądałem kolekcji udomowionych ropuch.

Jego palce wpiły mi się w ramię. Przeszywał mnie badawczym, świetlistym spojrzeniem.

Patagonia! — zawołał. — To surowa pani. Rzuca na ciebie urok. Czarodziejka! Bierze cię w ramiona i już nie wypuszcza.

Deszcz bębnił o blaszany dach. Przez następne dwie godziny to Mistrz był moją Patagonią.

W mrocznym pokoju zalegał kurz. W głębi sklecone z desek i skrzyń półki ugięły się pod ciężarem książek, minerałów, wyrobów indiańskich i skamieniałych ostróg. Na ścianie wisiał zegar z kukułką, litografia Indian na pampie i jeszcze jedna, przedstawiająca gaucza Martina Fierro.

- Indianie jeździli na koniach lepiej niż gauczowie oświadczył - Brunatne ciała! Nadzy, na oklep! Ich dzieci najpierw uczyły się jeździć konno, a dopiero potem chodzić. Stanowili jedność ze swymi końmi. *Ah! Mi Indio!*

Biurko zawałone było skorupkami migdałów i jego ulubionymi książkami; były tam *Żale Owidiusza*, *Georgiki Wergiliusza* i *Walden*, czyli *życie w lesie* Thoreau, *Relacja oprawy Magellana dookoła świata*, *Liście trawy*, *Poemat o Martinie Fierro* i *Fioletowa Ziemia* Pigafetty oraz *Pieśni niewinności* Blake'a, które darzył szczególną estymą.

Otrzeptał z kurzu i wręczył mi egzemplarz swojej *Canto on the Last Flooding of the Chubut River*, wydrukowanej prywatnym sumptem w Trelewie, w której połączył, aleksandrynem, swoją wizję potopu z peanem na cześć inżynierów budujących nową tamę. Przez całe życie wydał dwa tomy poezji, *Voices of the Earth* i *Rolling Stones* - ten drugi tytuł pochodził od głazów, które spłynęły z lodowcem i zalegają patagońską pampę. Zakres tematyczny jego poezji był wręcz kosmiczny, technika zaś wprost zdumiewająca. Udało mu się wcisnąć zagładę dinozaurów w rymowane kuplety pisane po hiszpańsku, z wtrętami w Linneuszowskiej łacinie.

Poczęstował mnie lepkiem aperitifem własnego wyrobu, wskazał krzesło po czym — gestykulując i kłapiąc sztucznymi zębami — zaczął recytować doniosłe strofy, opisujące geologiczne przeobrażenia Patagonii.

Zapytałem go, nad czym obecnie pracuje. Zachichotał zabawnie.

- Moja produkcja jest ograniczona. Jak to kiedyś powiedział T.S. Eliot: „Wiersz może poczekać”.

Przeostało padać i zacząłem się zbierać do wyjścia. Wokół uli poety brzęczały pszczoły. Dojrzewające morele miały barwę bladego słońca. Widok przesłaniały chmury puchu z ostów, a na polu pasło się kilka wełnistych owiec.

15

Machając poecie ręką na pożegnanie, ruszyłem do drogi biegnącej na zachód, w górę rzeki Chubut. Zatrzymała się ciężarówka z trzema mężczyznami w szoferce. Jechali w góry po siano. Przez całą noc objąłem się na pace, a o świcie, pokryty kurzem, patrzyłem, jak słońce pada na lodowce; w oddali widziałem wysokie zbocza, pokryte białym śniegiem i czarnym lasem południowych buków.

Kiedy zajechaliśmy do Esquel, na jednym z brunatnych wzgórz, ciasno otaczających miasteczko, trwał właśnie pożar buszu. Zjadłem w zielonej restauracji przy głównej ulicy. Przez całą salę biegła cynkowa lada, na której końcu, w szklanej witrynie, wystawiano na półkach kotlety, nerki oraz jagnięcinę i kiełbasy. Kwaśne wino podawano w glinianych dzbankach o kształcie pingwinów. Wszystkie stoliki obsiedli zatwardziali złoczyńcy. Gauczowie nosili wysokie, plisowane w harmonijkę buty i czarne bombardierki (bombardierki to bufiaste spodnie, które francuska armia sprzedawała niegdyś z nadwyżek wojskowych po pułkach żuawów, biorących udział w wojnie krymskiej).

Mężczyzna o przekrwionych oczach zostawił swoich kompanów i podszedł do mnie.

- Mogę zamienić z panem słowo, *señor*?

- Niech pan siada, łykniemy po jednym.

- Pan jesteś Anglik?

- Skąd pan wie?

- Znam się na ludziach - odparł. — Ta sama krew co mój pracodawca.

- A dlaczego nie Walijczyk?

- Odróżniam Walińczyków od Anglików, a pan jesteś Anglik.
- Tak.

Wyraźnie zadowolony, krzyknął do kompanów:

- No i co, mówiłem, że znam się na ludziach!

Skierował mnie na końską farmę pewnego Anglika, jakieś dwadzieścia mil w głąb łądu.

- *To tipo macanudo* - oznajmił. Porządny gość, prawdziwy angielski dżentelmen.

Farma Jima Ponsonby'ego leżała na wzgórzach; zimowe pastwiska miał w dolinie, a letnie w górach. Na łące było kilka byków rasy hereford, między nimi zaś przechadzały się ibisy żółtoszyje — wielkie ptaki o jasnoróżowych nogach, pokrzykujące melancholijnie.

Dom był niski, biały i otoczony srebrnymi brzózkami. Do drzwi podeszła Hiszpanka.

- *Patron* wziął męża, żeby mu pomógł z trykami — powiedziała. — Wybierają tryki na wystawę. Znajdzie ich pan w oborze do strzyżenia owiec.

Istotnie, był to angielski dżentelmen w każdym calu — średniego wzrostu, o gęstych siwych włosach i cienkim, przystrzyżonym wąsiku. Jego oczy miały wyjątkowo zimny odcień błękitu. Siatka pękniętych naczyń krwionośnych pokrywała mu twarz, jego brzuch zaś zdradzał brak umiaru w jedzeniu i piciu. Ubranie było efektem starannego doboru: jednorzędowa marynarka z plecionką na piersi i plecach, z brązowego tweedu w jodełkę, do tego drewniane guziki, rozpięta pod szyją koszula khaki, spodnie z samodziału, dwuogniskowe okulary w szylkretowej oprawce oraz wypucowane na glans półbuty.

Zapisywał coś w swojej księdze stadnej. Jego pracownik, Antonio, miał na sobie pełen rynsztunek gaucza łącznie z nożem zwanym *facón*, wiszącym mu ukośnie na plecach na wysokości krzyża. Właśnie prowadził grupkę australijskich merynosów przed swoim pracodawcą.

Tryki sapały pod ciężarem własnej wełny i męskości becząc z rezygnacją żarłoków poddanych diecie. Najlepsze zwierzęta miały na sobie bawełniane pokrowce, mające je chronić przed kurzem. Antonio musiał je rozbierać, a wtedy Anglik wyciągał rękę, rozczapierał palce i przykrywał raptem z pięć cali kremowożółtej wełny.

- Z jakiej części starego kraju pan pochodzi? — zapytał mnie.

- Z Gloucestershire.

- Z Gloucestershire, he? Gloucestershire! To na północy, co?

- Na zachodzie.

- Psiakrew, rzeczywiście! Na zachodzie. No tak. Myśmy mieszkali w Chippenham. Pewnie nigdy pan o nim nie słyszał. To w Wiltshire.

- Jakież piętnaście mil ode mnie.

- Pewnie chodzi o inne Chippenham. A co tam słyhać w starym kraju? — Zmienił temat, uciekając od sporów geograficznych. - Kiepsko się dzieje, prawda? Jawna granda!

16

Spałem z peonami. Noc była zimna. Dostałem dziecięce łóżko i czarne zimowe poncho do przykrycia. Oprócz poncho, sprzętu do parzenia matę i noży peoni nie mieli żadnego dobytku.

Rano białą koniczynę pokrywała gęsta rosa. Przeszedłem traktem do walijskiej wioski Trevelin - Miejsca Młyna. Niżej, w dolinie, błyszcząły blaszane dachy. Zobaczyłem młyn, zwyczajny wiktoriański młyn, a na skraju wioski jakieś bardzo dziwne drewniane budynki o spadzistych dachach ze wszystkich stron. Z bliska przekonałem się, że jeden z budynków to wieża ciśnień. Spływający z niej transparent informował: „Instituto Bahai”.

Zza nasypu wyjrzała czarna twarz.

- *Qué tal?*

- Spaceruję.

- Wejdz pan.

Institut Bahai w Trevelin tworzył jeden niski, bardzo czarny i bardzo muskularny Murzyn z Boliwii i sześciu byłych studentów uniwersytetu w Teheranie, z których jeden akurat był na miejscu.

- Sami mężczyźni - oznajmił, chichocząc. — Wszyscy bardzo religijni.

Robił właśnie prowizoryczną błyszczkę z blaszanej puszki, bo wybierał się nad jezioro na ryby. Pers tymczasem pluskał się pod prysznicem.

Persowie przybyli do Patagonii jako misjonarze, by krzewić swoją religię na świecie. Mieli mnóstwo pieniędzy i całe to miejsce udekorowali z pompą typową dla teherańskiej klasy średniej — kobierce buchara w kolorze wina, fantazyjne poduszki, mosiężne tace i ozdobione malunkami przedstawiającymi sceny z Księgi Królów kasetki na papierosy.

Pers imieniem Ali „przyplynał” spod prysznica w sarongu. Na jego chorobliwie białym ciele falowały czarne włosy. Miał olbrzymie, słodkie jak ulepek oczy i obwisłe wąsy. Opadł na stos poduszek, kazał Murzynowi pozmywać i zajął

się omawianiem sytuacji międzynarodowej.

- Persja to bardzo biedny kraj - oświadczył.
- Persja to cholernie bogaty kraj - sprostowałem.
- Persja mogłaby być bogata, gdyby Amerykanie nie okradli jej z bogactw. - Ali uśmiechnął się, odsłaniając obrzmiałe dżiąsła.

Zaproponował, że oprowadzi mnie po instytucie. Wszystkie książki w bibliotece traktowały o bahaizmie. Zannotowałem sobie dwa tytuły: *The Wrath of God* oraz *Epistle to the Son of the Wolf, Bahai Ullah*. Był też poradnik jak *pisać poprawnie*.

- Twoja religia jaka? — spytał Ali. — Chrześcijanin?
- Dziś rano moja religia żadna. Moim bogiem jest bóg piechurów. Jeżeli maszerujesz wytrwale, nie potrzeba ci innego boga.

Słyszając to, Murzyn wpadł w zachwyty. Chciał się przejść nad jezioro i łowić ryby.

- A moja przyjaciółko lubisz? - spytał Ali.
- Lubię. To miły przyjaciółko.
- On moja przyjaciółko!
- Jasne.

On bardzo dobry przyjaciółko, moja! - Przysunął twarz i mojej twarzy. — A to nasza pokój. — Otworzył drzwi. Stało tam podwójne łóżko, a na poduszce siedziała wypchana lalka. Na ścianie, na skórzanym rzemieniu, wisiała stalowa maczeta, którą Ali zaczął wywijać mi przed nosem.

- Ha! Ja zabijać bezbożnych.
- Odłóż to.
- Angliki niewierne.
- Powiedziałem, odłóż to!
- Ja tylko żartowałem — wyjaśnił i z powrotem zawiesił maczetę na haku. — Tu nie jest bezpiecznie. Argentyna to niebezpieczni ludzie. Mieć też rewolwer.
- Wolę go nie oglądać.

Następnie Ali pokazał mi ogród, rozplywając się w zachwyty. Bahaici wykonali rzeźby i meble ogrodowe, Boliwijczyk zaś ułożył dosyć zwariowaną brukowaną ścieżkę.

- Ty już sobie idź — powiedział Ali. - Moja zmęczona i musimy iść spać.

Boliwijczyk nie chciał mnie puścić. Dzień był taki piękny. Mężczyzna chciał pójść na ryby. Tego dnia rano z całą pewnością nie miał ochoty iść do łóżka.